Rok I. Kraków, styczeń 1932 Nr. 1.

NASZA MYŚL

Pisemko Wychowanków M. Zakładu wychowawczego
BR. BR. ALBERTYNÓW
w Krakowie na Zwierzyńcu.

Z rokiem 1932 przychodzi do Was przyjaciel, powiernik myśli Waszych, pocieszyciel w chwilach zwątpienia i smutku w postaci tego skromnego pisemka. Niech będzie ono ostoją Waszych myśli, drogowskazem na drodze życia, a zarazem niech Was łączy „w jedno ognisko", niech Was bawi i rozwesela. Wy wzamian bierzcie to pisemko do rąk chętnie i często, a w ten sposób zostaną spełnione obopólne życzenia.

Z tym Nowym Rokiem ślemy w świat „Naszą Myśl", by Was, Drodzy Czytelnicy, zapoznać z życiem naszego zakładu, aby nawiązać nici serdeczne, łączące młodzież bratnich zakładów dla wymiany myśli w naszych młodzieńczych sprawach.

Ideałem nas wszystkich niech będzie Ten, który założył podwaliny pod wiekopomne dzieło, mające za cel służyć ludzkości. Mija właśnie 15 lat od chwili zgonu Tego wielkiego apostoła serafickiego Ojca „maluczkich", Brata Alberta. Oby idea Jego czynów przeniknęła serca Wasze.

Pamiętajcie również, że jednym z celów życia zakładowego jest przygotować Was do życia zbiorowego, do którego będziecie później powołani. Życie więc zakładowe powinno być owiane duchem miłości Boga i ojczyzny, duchem koleżeńskości i posłuszeństwa. W atmosferę tego życia winien przenikać zdrowy humor, którego zadaniem jest łagodzenie szarzyzny życia.

Niech więc „Nasza Myśl" będzie łącznikiem między Wami; niech Wam umila chwile wolne od pracy całodziennej. Oddając do rąk Waszych pierwszy numer tego pisemka, jesteśmy przekonani, że nie będzie on może odpowiadał życzeniom Czytelników, gdyż jest opracowany jedynie przez członków Redakcji. Trudno... jesteśmy w najcięższych początkach.

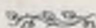
Zwracamy się przeto z prośbą o łaskawe nadsyłanie nam artykułów, korespondencyj, jakoteż i uwag Czytelników o naszem czasopiśmie, do których o ile możności będziemy starali się zastosować.

Redakcja.

REDAKCJA ZASYŁA WSZYSTKIM PRZYJACIOŁOM, OPIEKUNOM, PRZEŁOŻONYM NASZEGO ZAKŁADU, ORAZ WSZYSTKIM CZYTELNIKOM SERDECZNE ŻYCZENIA SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

BRATU ALBERTOWI.

O zgonie Twoim głosił nam dzwon,
Żeś nas opuścił Ojcze ubogi,
Żeś odszedł posiąść niebieski tron,
Gdzie niema bólu, ni łez, ni trwogi.
Już jesteś w niebie Albercie nasz,
Już Twe z Świętymi jest obcowanie
I patrzysz w Boga Najświętszą twarz,
W najdroższe Twoje umiłowanie.
Już składasz Bogu najwyższą cześć,
Za cały naród polskiej korony
I błagasz, by dalej mógł nieść
Krzyż Jezusowy i był zbawiony.
Pozdrawiaj w niebie przez wieków czas
Królowę Polską cudownem: „Ave"
I składaj dzięki, że chciała nas
Wolnością darzyć i wrócić sławę.
Módl się do Boga za polski kraj
Spragniony wielce Twojej opieki,
Niech go Pan Jezus przemieni w raj,
Strzeże od złego po liczne wieki.



RYS DZIEJÓW NASZEGO ZAKŁADU.

Dwadzieścia lat dobiega prawie od powstania naszego zakładu, ale lata te zostały zapisane żywemi zgłoskami w dziejach naszego miasta. Nie jest to bynajmniej przesada, ale prawdziwa rzeczywistość. Bo szkoła kształci umysł, urabia z dziecka człowieka dojrzałego, więzienie jest karą dla ludzi upadłych, a zakład wychowaczy musi w warunkach nie zawsze pomyślnych wyrywać z odmętów życia jednostki niedoświadczone, aby kiedyś po pracy trudnej i mozolnej oddać społeczeństwu obywateli pożytecznych i przygotowanych do życia. Tego trudnego zadania podjęli się dwadzieścia lat temu, idąc za hasłem swego Czcigodnego Założyciela Br. Br. Albertyni w naszym zakładzie, a mozolna ich praca wydała po latach nadspodziewane wyniki. Tych kilka luźno rzuconych faktów ma zilustrować rozwój naszego zakładu.

W r. 1912 powstała myśl o utworzeniu takiej instytucji, w którejby można umieścić chłopców pozostających tymczasowo w budynku przy ul. Krakowskiej 43. Że zajęto się naprawdę projektem, należy zadwzięczać jedynie renomie jaką się cieszyli Br. Br. Albertyni w sferach rządzących miasta, poparciu oraz niestrudzonej pracy poszczególnych osób, a głównie śp. p. pre-

zyd. Juljusza Lea, p. nadradcy Banasia, Br. przełoż. Wincentego, śp. Br. Ludwika, śp. prof. Stanisława Pareńskiego i w. i. Za sprawą wyżej wspomnianych osób, Rada miejska już na posiedzeniu budżetowem w dniu 16 kwietnia 1912 r. zatwierdziła program opracowany przez prof. St. Pareńskiego (przewodniczącego sekcji VI dla spraw dobroczyn.) o utworzeniu zakładu wychowawczego dla chłopców. Jako pomieszczenie dla zakładu oddała Rada miejska budynek poszkolny na Półwsiu zwierzyniec. przy ul. Kościuszki, ponieważ szkołę przeniesiono do nowego budynku przy ul. Słonecznej. Sporządzono kosztorys na odnowienie i uskutecznienie koniecznych przeróbek wspomnianego budynku, a następnie kosztorys ten opiewający na kwotę 700 koron, przedłożono do zatwierdzenia p. prezyd. J. Leo. Tymczasem po rozpoczęciu robót okazało się, że odnowienie i najkonieczniejsze roboty kosztować będą 4000 k. Prace remontowe rozpoczęto w lipcu, a ukończono już w październiku, tak że w dniu 15 października 1912 nastąpiło uroczyste otwarcie zakładu.

Jednak pomieszczenie zakładu okazało się za szczupłe, gdyż według relacji prof. Pareńskiego „jeden tylko warsztat, a mianowicie introligatorski ma dogodne pomieszczenie, warsztat szewski kształcący 15 wychowanków mieści się w małym pokoju o 1-ym oknie, a warszat krawiecki w sali sypialnej, gdyż zupełny brak jest dla nich osobnego i wygodnego pomieszczenia. Jedna obszerniejsza sala z konieczności służyć musi za refektarz, salę do nauki szkolnej, salę do zabaw i salę na przedstawienia teatralne".

W takich warunkach zdawałoby się, że nie można było myśleć o prowadzeniu systematycznej nauki w zakresie szkoły ludowej, którą ze względu na metodę wychowania musieli wychowankowie pobierać w domu, ani o prowadzeniu nauki fachowej dla rzemieślników. Lecz tym wszystkim brakom przeciwstawili wychowawcy ze swej strony, wprost ogromny zmysł praktyczny i jak mogli tak starali się usunąć braki. Wprawdzie prezydjum miasta przeznaczyło na pomieszczenie zakładu realność w dzielnicy XI a komisja magistratu uznała ją za odpowiednią po uzupełnieniu koniecznych adaptacyj, ale konkretniejszych kroków w tej sprawie nie powzięto.

Wybuchła wojna światowa. Praca w zakładzie potoczyła się dawnym trybem, jedynie umysły wychowanków były podniecone a ich młode serca rwały się do czynu. Bywało, że niejeden pochylony nad warsztatem odrywał myśl od pracy, a puściwszy wodze wyobraźni, towarzyszył myślą i brał udział w zmaganiach legjonów, to znowu jako dziarski ułan Beliny w pozłocistym mundurze leciał równo z wichrem do ataku, brał udział w bohaterskich szarżach, o których tyle zasłyszał od przełożonych lub z wycinków gazet. Miłość ojczyzny i poczucie godności

Polaka w szczepione w młode serca przez wychowawców, wydały plon, bo oto kilku wychowanków opuszcza mury zakładu, z któremi łączyło ich wiele miłych wspomnień i wstępuje w szeregi walczących. Szli oni w bój ochotnie, bo przyświecał im przykład Czcigod. Br. Alberta, który jako młodzieniec walczył w powstaniu 1863 r., a być może, że i duch Jego wiódł swe dzieci poprzez kartacze i grad kul tak, że cało z wojny wrócili.

Wiele jednak trudności napotkało prowadzenie zakładu w czasie wojny, ale z wszelkich przeciwności potrafił wyjść cało zarząd zakładu, mając poparcie i skuteczną pomoc u p. prezyd. miasta Rollego, w którego osobie zakład miał zawsze serdecznego protektora.

Po odzyskaniu niepodległości Ojczyzny stosunki nieco uległy poprawie. Zakład prowadzony doświadczoną ręką Br. przełoż. Wincentego, który całą swą duszą oddał się sprawie wychowania młodzieży, zaczyna się wspaniale rozwijać. Wychowankowie ze swej strony różnemi imprezami dają znać o swej żywotności. W latach 1922—24 powstaje nowe skrzydło budynku, w którem znalazły pomieszczenie sala jadalna, teatralna, szkolna i sale sypialne. Na lata te przypada najświetniejszy okres rozwoju w dziejach zakładu, a z nim są ściśle związane nazwiska wielce zasłużonego pracownika na niwie wychowawczej Br. Wincentego, długoletniego wychowawcy i kuratora orkiestry zakładowej Br. Karola, śp. Br. Paschalisa, i w. i. Prócz nauki zawodowej, którą wychowankowie pobierają we własnych pracowniach prowadzonych przez siły fachowe, oddają się oni stosownie do zamiłowania pracom nadobowiązkowym. Orkiestra symfoniczna i dęta, postawione na wysokim poziomie dają możność kształcenia się w muzyce. Orkiestra dęta, kierowana wytrawną ręką przez p. kapelmistrza Atamaniuka, nie tylko bierze udział w licznych imprezach zakładowych, lecz także przez liczne swe występy dała się poznać szerszej publiczności. Orkiestra ta zdobyła puhar srebrny w konkursie orkiestr w dniu 10 czerwca 1928 r. i zajęła miejsce przed orkiestrą Zw. Mł. Przem. i Ręk. X. Kuznowicza. Istnieją również na terenie zakładu różne organizacje, np. koło amatorskie, sportowe, chór itp. w których młodzież kształci się, znajduje rozrywkę, a równocześnie przyzwyczaja się do życia zbiorowego, do którego będzie powołana w przyszłości.

W przeciągu okresu dwudziestoletniego przeszła przez mury zakładu prawie półtysięczna rzesza młodzieży, która przygotowana do życia stanęła do pracy z myślą, że tylko sumienną i gorliwą pracą może spłacić dług, jaki względem społeczeństwa zaciągnęła.

Skreślił

Figiel Władysław.

KRONIKA.

Z minionych dni.

Kraków w hołdzie Tetmajerowi. W dniu 6. XII w Złotej Sali Domu Katolickiego złożyli obywatele Krakowa hołd wielkiemu piewcy Podhala i Tatr, K. Tetmajerowi. W wypełnionej po brzegi publicznością sali rozbrzmiały skoczne melodje góralskie. To podhalańscy górale przybywają licznie, by tu w podwawelskim grodzie złożyć hołd Temu, co proste ich życie wzniósł na wyżyny poezji. Sam Tetmajer zasiadł jak gazda pośród swej braci podhalańskiej i słuchał pięknych deklamacyj, z uczuciem odtworzonych w gwarze podhalańskiej, szumnych pieśni „O Janosiku“ i „Hej idem w las“, licznych przemówień w których brzmiała wspólna nuta uwielbienia i zachwytu dla Jego twórczości. Przypatrywał się efektownym tańcom góralskim, które nagrodzone zostały burzą oklasków przez publiczność. W uroczystości tej wzięła udział delegacja naszego zakładu z Br. Viatorem i p. Zwaryczem.

Św. Mikołaj u nas. Wieczorem tegoż dnia jak zresztą zawsze, tak i tego roku zawitał w nasze progi Święty Staruszek, by choć skromnemi darami obdarzyć swych znajomych chłopców. Powiedział piękną naukę, rozdał podarki i poszedł, ale widać było, że się śpieszył.

Może miał jeszcze dużo dzieci do odwiedzenia i obawiał się, żeby go tu na ziemi spisem ludności nie objęli. Bo też miał się czego obawiać. Dużo miałby kłopotu z latami, miejscem zamieszkania i t. p. no a św. Piotra nikt nie zmusi do trzymania u siebie książki meldunkowej. Zejście z nieba św. Mikołaja poprzedziła humoreska z życia zakładowego wykonana przez koło amatorskie. Ogólnie podobały się monologi Kucharza i djabła. Brakło jedynie życia, werwy i wesołości, jaka zawsze towarzyszyła takiej uroczystości.

8. XII. Święto Niepokalanej M. Panny uczcili wszyscy wychowankowie przez wspólne przyjęcie ŚS. Sakramentów i całodzienną adorację.

Od 8—23 grudnia słychać było tylko śpiewy, krzyki, próby Jasełek, jakieś gorączkowe przygotowania, na każdem miejscu nieporządek, co miało zwiastować nadejście „generalnych porządków“; jednem słowem panował „bałagan przedświąteczny“.

24. grudnia. **Uroczystość wigilijna.** Nadszedł wreszcie dzień przez wszystkich upragniony, dzień wigilijny i złączona z nim tradycyjna uroczystość zakładowa: „gwiazdka“. Ruch panował wszędzie, gdyż tę radosną i drogą chwilę sercu każdego wychowanka, miał zaszczycić swą obecnością P. Prezydent, oraz delegaci Rady miejskiej. W pięknie udekorowanej sali teatralnej ze-

brali się wychowankowie dwóch zakładów, oczekując niecierpliwie przybycia P. Prezydenta.

Godzina jedenasta. Na podwórze zajeżdża samochód, na którego widok z serc naszych wyrywa się gromki okrzyk: „Jedzie — Jedzie"! W chwilę potem witany dźwiękami uroczystej fanfary, wchodzi na salę p. prezydent Klimecki, w otoczeniu delegatów Rady miejskiej.

Poraz pierwszy przybywającego w mury naszego zakładu P. Prezydenta powitał w serdecznych słowach wych. Figiel Wł. Jednak skromne i proste słowa nie mogły odzwierciedlić tych uczuć, które w sercach naszych nurtowały, a „których wyrazem, miała być właśnie ta radosna, wigilijna uroczystość". Po powitaniu nastąpiła wokalno-muzyczna część programu, na którą złożyły się: deklamacje, śpiew chóralny i koncert orkiestry. Bardzo miłą niespodzianką dla zgromadzonych gości był występ orkiestry dętej, która pod bat. p. kapelmistrza P. Atamaniuka wykonała poemat symfoniczny kapitana W. S. Kosseckiego: „Cud nad Wisłą". Wzruszający wierszyk okolicznościowy wygłosili chóralnie wychowankowie z Dębnik, który nagrodzony został burzą oklasków.

Miłemi dla oka były produkcje taneczne młodszych wychowanków, którzy przy dźwiękach orkiestry dętej odtańczyli w cztery pary z werwą krakowiaka. — Nagle u wejścia rozbrzmiały skoczne melodje góralskie i przez salę kroczy paradnie kilku dorodnych górali z własną kapelą, a „bacuje" im p. Zwarycz, rodzony góral ze... Zwierzyńca. Na scenie zaśpiewali wesoło. „Za górami, za lasami" i zatańczyli „pięknie" zbójnickiego, budząc ogólny podziw swemi produkcjami. Równie z wdziękiem odtańczyła para góralska (Radwan i Michalec) „krzesanego", który również został przyjęty z entuzjazmem przez uczestników uroczystości.

Imieniem b. wychowanków przemówił p. Kaliszyński, który w swem przemówieniu podniósł, jak wielką rolę odegrały w dziejach naszego Zakładu uroczystości wigilijne. Następnie w gorących słowach dziękował P. Prezydentowi i delegatom Rady miejskiej za troskliwą opiekę, którą zawsze nasz zakład otaczali, oraz Zarządowi Zakładu za pełną poświęcenia pracę wychowawczą dla dobra oddanej im młodzieży.

Na zakończenie zabrał głos P. Prezydent Klimecki, który w prostych, ale dziwnie trafiających do serca słowach, życzył nam wszelkiej pomyślności, a w szczególności byśmy wyrośli na pożytecznych obywateli naszego społeczeństwa i dobrych synów ukochanej ojczyzny. Również podkreślił P. Prezydent w swem przemówieniu to, że „jak jaskółki na wiosnę wracają do ojczystych krajów, aby radować się ciepłemi promieniami wiosennego słońca, tak również i wychowankowie, którzy zakład już opuścili, winni w podobnych uroczystościach owianych ciepłem minionych chwil czerpać siłę duchową do dalszej pracy".

Tradycyjnym zwyczajem łamał się P. Prezydent opłatkiem z Br. Przełożonym, z Braćmi, zaproszonymi gośćmi, wśród których mogliśmy zauważyć p. nadradcę Banasia, p. Limanowskiego, ks. prob. Zastawniaka, p. prof. Hajnosa, p. Semenowicza, p. Natanka, p. Twardowskiego i w. i. a wkońcu z wychowankami, którzy zgotowali mu serdeczną owację, wznosząc na jego cześć kilkakrotne okrzyki.

Marszem I. Brygady zakończono miłą uroczystość.

Popołudniu wszyscy wychowankowie przystąpili w kaplicy zakładowej do św. Sakramentu Pokuty.

Wigilja. Wieczorem, skoro tylko na niebie zamigotała pierwsza gwiazda, wszyscy zasiedliśmy do zastawionego stołu, by w uroczystym nastroju pożywać wieczerzę wigilijną. Dwie choinki na przedzie wabiły nasze oczy piękną iluminacją i błyskotliwością ozdób. Niejednemu może przypominały się dawne czasy, kiedy to o tej porze w domu rodzicielskim w otoczeniu swych najbliższych osób rozkoszował się urokiem takiej uroczystej chwili, bawił się widokiem pięknie ozdobionego drzewka i przyjmował życzenia od rodziców, którzy łamiąc się z nimi opłatkiem życzyli mu, by wyrósł Bogu i im na pociechę. Tymczasem może stało się inaczej.

Lecz smutne te myśli pierzchły nagle, gdy z serc wszystkich rozbrzmiały wesołe kolędy. Wesoły nastrój zapanował wszędzie. Od czasu do czasu zanoszono się od śmiechu, bawiąc się żartami kolegów.

O północy odprawił w kaplicy zakładowej ks. prob. Zastawniak uroczystą mszę pasterską, podczas której wychowankowie z Przełożonymi przystąpili do Stołu Pańskiego. Na nabożeństwie byli obecni również pp. Kierownicy i kilku b. wychowanków.

Boże Narodzenie. Pierwszy dzień świąteczny spędzili wychowankowie u rodziców lub krewnych, dokąd się udali po wysłuchaniu Mszy św. w kaplicy zakładowej. Pozostali w zakładzie wychowankowie zabawiali się grą w tenisa stołowego (ping-pong) i t. p.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia w sali teatralnej odegrali wychowankowie tradycyjne Jasełka. Całość wypadła nagół dobrze. Po przedstawieniu orkiestra dęta odegrała poemat symfoniczny „Cud nad Wisłą". Publiczność dopisała.

Z koła towarzysko-sportowego. Z radością stwierdzamy, że nasi sportowcy zabierają się w r. 1932 poważnie do pracy, czego dowodem są dwa zebrania w bieżącym roku a to 3 i 6 stycznia.

W miejsce ustępującego prezesa Wł. Lipińskiego, który został powołany do służby wojskowej, wybrano prezesem Koła p. St. Zwarycza, który na stanowisku kierownika sekcji piłki nożnej położył duże zasługi dla dobra tejże organizacji.

Pozatem skład Zarządu K. T. S. został niezmieniony, a więc

wice-prezesem pozostał nadal Figiel Wł. sekretarzem Galas, skarbnikiem Wróbel Adam, radnymi: Sroka W., Radwan i Klocer.

Staraniem tegoż Koła urządzono w niedzielę 10. l. b. r. loterję fantową. Dochód przeznaczony na fundusz sportowy tegoż Koła.

CZY WIECIE, ŻE...

12. I. 1913 r. pierwszą Mszę św. w kaplicy zakładowej odprawił Ks. Karol Witaszek, prokurator XX. Misjonarzy.

12. II. 1917 r. odbyły się pierwsze w zakładzie wyzwoliny, a mianowicie dyplom wyzwolin na czeladnika krawieckiego otrzymał B'achut Adam, a na czeladnika introligatorskiego Pałczoń Karol (obecnie porucznik W. P.).

10. VI. 1928 r. orkiestra zakładowa zdobyła I miejsce i puhar w konkursie trzech orkiestr. Kuratorem orkiestry był Br. Karol, a kapelmistrzem p. Paweł Atamaniuk. II-gie miejsce zajęła orkiestra Zw. Młodz. Przem. i Rękodz. pod bat. kapelm. Schreyera a trzecie orkiestra Bursy Salezjańskiej. Mistrzowska orkiestra zdobyla puhar srebrny fundowany przez Komitet Ks. Bratkowskiego, oraz nagrodę pieniężną w kwocie 200 złotych.

28. X. 1929 r. odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne Koła Amatorskiego. Prezesem wybrany został Figiel Władysław.

Od r. 1913—1930 opuściło zakład wychowanków

w charakterze czeladników krawieckich	34
„ „ „ introligatorskich	23
„ „ „ szewskich	22
„ „ absolwentów szkół średnich	5
wstąpiło do wojska na zawod. lub muzyk.	12
zabrano przez rodziców lub opiekunów	110
przeniesiono do innych zakładów	27
dobrowolnie	61
oddano do miejsca przynależności	38
zmarło . . . . ,	18
razem	350

ECHA SPORTOWE.

Stan sportu u nas (przy zamknięciu sezonu).

Jedną z najważniejszych gałęzi fizycznego życia społeczeństw jest sport. Zarząd naszego zakładu doceniając znaczenie sportu w życiu młodzieży oraz wpływ jaki on wywiera na rozwój duchowy i fizyczny, zawsze sport gorliwie popierał.

Z początkiem ub. r. powstała myśl o zorganizowaniu klubu sportowego, któryby ujął inicjatywę życia sportowego w swe ręce. Projekt ten, przy wydatnem poparciu Br. przełoż. Wincentego, dał się zrealizować i już z początkiem marca powstaje

klub sportowy „Salvator". W łonie jego zawiązują się trzy sekcje: piłki nożnej, koszykówki i lekkoatletyczna. Stosunkowo najlepiej rozwinęła się sekcja piłki nożnej, do czego w znacznej mierze przyczyniły się: odpowiedni sprzęt, własne boisko, wybitne talenty piłkarskie (Radwan, Starek, Zagórski, Michno, Krówka i w. i.), oraz praca Zarządu z Br. Dominikiem i Wł. Lipińskim na czele. Przez nawiązanie stosunków z innemi drużynami krakowskiemi w krótkim stosunkowo czasie wyrobiła sobie opinję drużyny zgranej, skonsolidowanej, o czem świadczą wyniki uzyskane z drużynami B a nawet A klasy K. O. Z. P. N.



Nasi piłkarze.
Stoją od lewej: Lipiński, Sroka W. Zagórski, Sroka J. Chorążek, Starek, Michno, Górka; leżą: Radwan, Krówczyński i Bąk.

Godnym zanotowaia jest fakt nawiązania stosunków z Cracovią i Wisłą a wyniki uzyskane z temi drużynami postawiły sport zakładowy w oczach innych jako coś, z czem należy się liczyć. Równie zaszczytne wyniki uzyskał Salvator w czasie feryj wakacyjnych w Zakopanem z tamtejszemi drużynami, chociaż wystąpił z kilkoma rezerwowymi. Oprócz tego gracze Salvatoru grali kilka razy w reprezentacji Zakopanego przeciwko Podgórzowi mistrz kl. A, reprezentacji Wisły itp. reprezentując dość wysoką klasę.

Ogółem rozegrał Salvator 18 spotkań z klubami takiemi, jak: Cracovia 1 b, Wisła II, Zwierzynieckim, Spartą, Wawelem, Wisłą zakop. Strzelcem, Reprezentacją Zakopanego, Krakusem, Polonią, Juvenią i w. i. W lipcu ub. r. rozegrano zawody towarzyskie z reprezentacją zakładu z Warszawy, które zakończyły

się porażką Warszawian w stosunku 13:0. Dodać jednak należy, że warunki terenowe były wprost fatalne. Zawody te wchodziły w skład programu uroczystości poświęcenia i otwarcia boiska K. S. Salvator. Poświęcenia boiska dokonał ks. kanonik St. Pilchowski.

Skład drużyny, który mniejwięcej utrzymał się przez cały sezon, przedstawia się następująco: Krówka, Sroka I, Bąk-Górka, Michno, Kuszpit, (Henzelman) — Lipiński, Chorążek, Zagórski, Radwan i Starek.

Największą ilość bramek dla swych barw zdobył Radwan (29), Starek (11), Zagórski i Górka (8), Chorążek i Lipiński (4), Sroka I i Sroka II (2), Michno (1).

W osiemnastu spotkaniach odniósł Salvator 10 zwycięstw, 2 remisy i 6 porażek. Strzelono 62 bramki a otrzymano 42.

Kierownikiem sekcji piłki nożnej był zasłużony na polu wychowania fizycznego w naszym zakładzie p. St. Zwarycz.

Poza pierwszą drużyną istniały jeszcze dwie drużyny młodsze, które również rozegrały kilka spotkań towarzyskich.

Ruchliwą okazała się sekcja koszykówki, która przez cały sezon nie odniosła żadnej porażki, wygrywając z Sokołem, reprezentacją państw. Seminarjum naucz. z drużynami harcerskiemi i w. in.

Wu-Ef.



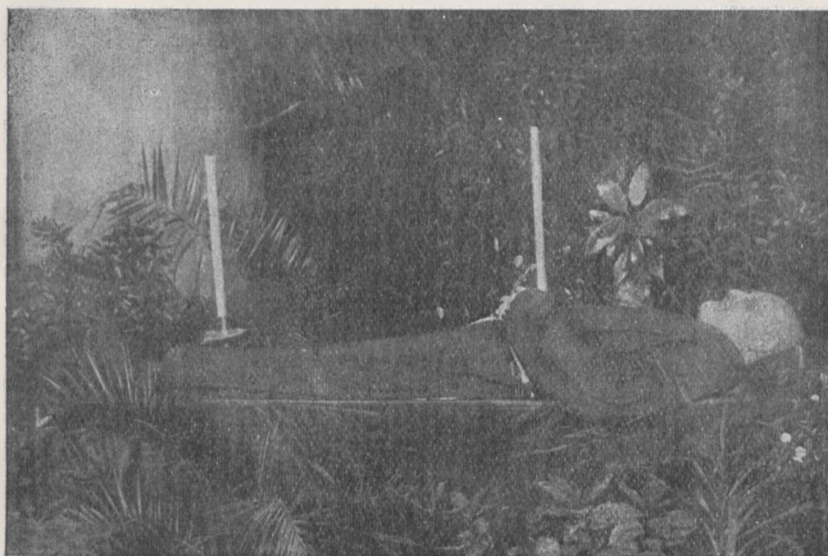
JAK UMIERAŁ SŁUGA BOŻY, BRAT ALBERT.

(w piętnastą rocznicę śmierci 1916—1931).

„Nazajutrz była niedziela przed Bożem Narodzeniem 24. XII. Przed południem odbyła się jeszcze narada lekarzy nad stanem chorego, która stwierdziła tylko całkowitą ludzką niemoc, co do środków ratunku czcigodnego Pacjenta. — Wobec tego postanowiono dać Bratu Albertowi wraz z ostatniemi pociechami religijnemi, wiatyk św. na drogę wieczności, tem zaś skwapliwiej chciano to uczynić, że i stany przytomności u chorego częściej się powtarzały i dłużej trwały.

W tych chilwach jedna miła i rzewna scena się rozegrała. Gdy Sługa Boży zauważył, że leży na łóżku i pierzastej poduszce, z powodu czego tak się czuł nieszczęśliwym, że jak dziecko prosił i błagał, by mu podali jego twardy tapczan i twardą, jak kamień poduszkę z sieczki. Na skutek tych próśb przynieśli Bracia ubogie łoże Brata Alberta, ale że się rozsypywało i nogi były nadłamane, więc ustawili ten nędzny tapczan na pudłach, żeby się nie rozleciał, położyli twardą poduszkę i na tem nędznem posłaniu ułożyli swego Czcigodnego Założyciela, który teraz czuł się nad wyraz szczęśliwym i serdecznie dziękując, dodawał „O, teraz mi dobrze“!

Popołudniu tegoż dnia zebrali się liczni członkowie obydwóch Zgromadzeń Brata Alberta i otoczyli jego łoże boleści, aby być świadkami ostatnich chwil życia Swego Ojca i z nim się pożegnać. Przyszedł też ks. Lewandowski ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy, przed którym Brat Albert się wyspowiadał, a niedługo potem przyniósł mu O. Górny, przeor Księży Lateraneńskich wiatyk św., którym posilony Sługa Boży i ubogacony odpustem w godzinę śmierci, dziwnie się na duszy i na ciele pokrzepił i długi odtąd czas w zupełnej przytomności pozostał. Kiedy ks. Lewandowski podał Bratu Albertowi Krzyż do pocałowania i przypomniał mu, aby swe cierpienia połączył z cierpieniami P. Jezusa Ukrzyżowanego, Czcigodny chory tak



budująco i heroicznie do tego się stosował, gdy był przytomny, iż mimo strasznych ataków boleści, cicho to znosił i ani jęknął, owszem z pogodnem obliczem ochotnie to wszystko cierpiał z miłości dla tegoż Zbawiciela, którego nadewszystko zawsze miłował. To heroiczne usposobienie Brata Alberta zebrani tamże Bracia i Siostry dobrze zauważyli. Wtedy to nastała przepiękna chwila, która niezatarte wrażenie zrobiła na obecnych — a i w tem podobny był Brat Albert do św. Franciszka.

Czcigodny Sługa Boży, pokrzepiony „chlebem mocnych“, usiadł na swym tapczanie i z pogodnem obliczem i miłością patrzał na otaczające go dzieci duchowe, które wyrażały Swemu Ojcu swe uczucia, prosiły go pojedynczo to o modlitwę, to znowu o błogosławieństwo i inne usługi duchowne, a on mile spełniał ich życzenia i dawał ostatnie nauki. Wtedy ks. Lewan-

dowski poprosił Brata Alberta, aby już nie pojedynczo, ale wszystkim tu Braciom i Siostrom pobłogosławił na drogę ich życia. Wówczas Sługa Boży dziwnie się skupił w sobie, z głębokiem przejęciem i namaszczeniem zakreślił nad klęczącemi i płaczącemi swemi dziećmi wielki krzyż i rzekł: „chętnie wam błogosławię“!

„Niech Brat Starszy pobłogosławi nieobecnych Braci i Sióstr“.

„Także im błogosławię ze serca“.

„I tych wszystkich Braci i Sióstr, którzy w przyszłości będą w Zgromadzeniach Twoich“!

„Błogosławię im“.

„Niech Brat Starszy błogosławi jeszcze ubogich i sieroty, znajdujących się w przytuliskach i domach obydwóch Zgromadzeń“.

Widać było niezwykłe rozrzewnienie w obliczu Brata Alberta, który i tym razem czyniąc znak Krzyża św., zawołał ze serca: „Błogosławię im“!

Scena ta zrobiła wielkie wrażenie na obecnych, rozległ się płacz i szlochanie.

Wtem zaszło coś nowego! Nagle w oczach Sługi Bożego zabłysły dziwne jakieś ognie. Umierający Starzec przemienia się jakoby w jakiegoś olbrzyma, a z ust jego, jak grom, zaczęły padać dziwnie mocne słowa, które do głębi duszami obecnych wstrząsnęły:

„Co tu płakać? z wolą Boską macie się zgadzać i za wszystko Bogu dziękować! Tak jest! trzeba Bogu dziękować za chorobę i za śmierć, jak ją zsyła. Zmówić trzeba: „Magnificat“. Co Bóg ześle, trzeba Mu za wszystko dziękować“ i dodal Brat Albert te dziwnie, wówczas zwłaszcza, jakoby jakiś zgrzyt czyniące słowa: „Nawet za tę wojnę trzeba Bogu dziękować i trzeba mówić „Te Deum“. Ja codziennie za tę wojnę „Te Deum“ odmawiałem; bo co Bóg działa, święte jest i dobre“.

Następnie pochwyciły Brata Alberta takie cierpienia, że przeniknięty i otulony niemi, jakoby płaszczem, zamilkł, zawładnęła nim nieprzytomność, przerywana rzadkiemi i krótko trwającemi stanami, w których rozeznawał to, na co się oddawna zgodził, t. j. że przez konanie i śmierć spełnia najwyższą i najświętszą wolę Boga, którą uwielbiał i za nią dziękował i tą ofiarą i żertwą Bożą do ostatniego tchu zostawał. W tym czasie odwiedził Czcigodnego Chorego Książe Metropolita Sapieha i Najprzew. Ks. Biskup Nowak i ini dostojnicy. Rano w dzień Bożego Narodzenia Brat Albert odzyskawszy przytomność, poprosił o wodę, którą mu Siostra Magdalena, Wikarja Zgromadzenia podała i spytała się, czy jeszcze czego potrzebuje?

„Teraz, już mi nic nie potrzeba“ — były ostatnie słowa Brata Alberta.

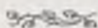
Stan nieprzytomności i cichego konania trwał do południa, oddech chorego Sługi Bożego stawał się coraz słabszym, chwi-

lami całkiem ustawał, serce czyniło ostatnie wysiłki, życie cicho i spokojnie ulatywało. W chwili, gdy w samo południe zadzwoniono w kościele Bonifratrów na „Anioł Pański“, śmiertelna bladość okryła oblicze Brata Alberta i Czcigodny Sługa Boży oddał swego ducha Bogu.

Wielki Czciciel Dzieciątka Bożego poszedł wielbić i miłować, w wieczności, Słowo Przedwieczne, które się stało ciałem, w nagrodę za to, iż za przykładem św. Franciszka, takie miał nabożeństwo do Słowa Wcielonego, że podczas świąt Bożego Narodzenia z wielkiej radości niemal się zapamiętywał.

To też po śmierci Brata Alberta pozostał na jego obliczu dziwny jakiś wyraz niebiańskiej pogody i nadprzyrodzonej słodyczy. Na wieć o jego śmierci zadrgał nie tylko Kraków, ale całe połacie ziemi polskiej, a w ślad za tem drgnieniem tych, co go znali, szedł jakoby cichy a potężny szept ludzki: „Umarł Święty“. Gdzieniegdzie wydrukowano, pisząc o nim nekrologi, „że dzięki Bogu są jeszcze święci w kościele Bożym i na polskiej ziemi“.

(Wyjątek z „Brat Albert“
przez *ks. Czesława Lewandowskiego*).



NA NAJWYŻSZY SZCZYT POLSKICH TATR.

Wrażenia z wycieczki wakacyjnej na Rysy.

Dniało — błękitne mgły opadały zwolna i sennie. Przebudzeni ożywionym ruchem wybierających się w drogę turystów i orzeźwieni chłodnem rannem powietrzem, które przez nawpół otwarte okienko dostawało się do naszej „sypialni“, — wstajemy. Każdy z trudem zbierał swe kości, po całonocnym wypoczynku na stołach w jadalni schroniska P. T. T. Z radością więc witaliśmy wstające słońce, które swemi złocistemi promieniami igrało po turniach Mięguszowieckiego, jakby drażniło się z nami zziębniętymi i spragnionymi słonecznego ciepła. Po wspólnem śniadaniu przy ognisku, zaopatrzeniu się w prowianty, tradycyjnej fotografji przy Morskiem Oku, wyruszyliśmy wszyscy do Czarnego Stawu nad M. O.

Po drodze mieliśmy możność podziwiania tego prześlicznego cudu natury, jakim bezprzecznie jest wschód słońca nad Morskiem Okiem. Niebotyczne szczyty-ogromy piętrzące się nad gładką taflą jeziora stoją milczące, poważne, zadumane. Same szczyty otula biała mgiełka, która coraz to się rozprasza i jakby białe stado mew lekko spływa w dół, ku granitowym stopom gór, otulonych czarną, niską kosodrzewiną. Aż tu nagle z za turni wystrzelił jasny pęk promieni słonecznych, który rozja-

śnił ponure oblicze potężnych głazów i tchnął w nie jakgdyby nowe życie i radość. Zachwyceni, mimowoli skłaniamy głowy przed Mistrzem Stwórcą tego arcydzieła, aż tu — o dziwo — hen w dole pod naszemi stopami jeszcze piękniejszy oczom ukazał się widok. Gdzieś w górze po turniach zaświszczał wicher, postrącał z kosówki kropelki rosy, a wreszcie wionął lekko w cichą taflę jeziora. Zadąsały się gniewne wody, że ktoś im sen śmiał przerwać i cała tafla jeziora pomarszczona lekkiemi powiewami wiatru mieniła się w słońcu prześlicznemi kolorami tęczy.

W czystej jak łza wodzie jeziora przeglądają się z wysoka dumne ze swego ogromu i piękności niebotyczne szczyty: Mięguszowiecki, Rysy, Mnich, Żabie i inne. Lazurową toń jeziora od czasu do czasu przecina wpoprzek jakiś biały punkcik, który sunie powoli po jeziorze, a za sobą pozostawia biały piuropusz coraz dalsze zataczający kręgi. „Motorówka"! — słyszę zewsząd okrzyki towarzyszy, ale w rzeczywistości motorem w zwykłej barce przewożącej turystów po jeziorze, to muskularne dłonie krępego górala.

Przy Czarnym Stawie skromny posiłek i wybrana „piętnastka" z Emilem M. na czele żegnana przez resztę towarzyszy rusza w drogę na Rysy. Niejednemu serce żwawiej poczęło bić na widok ogromnych głazów, piętrzących się stromo przed nami na myśl, że może przyjdzie mu pokonywać strome przepaście, gdzie lada fałszywy krok, może spowodować śmierć niechybną. Jednak poczucie honoru i wstyd na któryby się każdy naraził w razie zaniechania wycieczki, zwyciężały lęk w sercu i każdy nadrabiał krokiem, by nie pozostać w tyle za innymi. Przewodnik nasz nadał zaraz z początku takie mordercze tępo, że pięliśmy się w górę, zraszając granitowe skały naszym potem i nie mieliśmy nawet czasu oglądnąć się w tył, co porabiają nasi towarzysze przy Czarnym Stawie. Nareszcie nadszedł upragniony odpoczynek. Posiadaliśmy sobie wygodnie na kamieniach zwróceni w stronę Morskiego Oka z dumą spoglądając na „odrobioną" drogę. Podziwialiśmy wspaniałą panoramę Tatr, która przed nami się rozpościerała.

Po 5-cio minutowym odpoczynku ruszyliśmy dalej. Droga prowadziła stromo w górę po „piargach", dlatego była nudną i nużącą. Mniejwięcej w połowie droga stała się więcej urozmaicona. Spinaliśmy się po ścianach stromych, dopomagając sobie klamrami i łańcuchami przymocowanemi silnie do skały. Szliśmy teraz nie odczuwając wcale zmęczenia. Zasługa to naszego przewodnika, względnie jego dobrej taktyki. Wszyscy spinaliśmy się śpiesznie w górę, nie zważając na żadne trudności, a nawet minęliśmy turystów, którzy od nas wyszli wcześniej ze schroniska o dobrą godzinę. Coprawda ci obserwując naszą spinaczkę mieli miny zgorszone, a my w ich oczach zakrawaliśmy conajmniej na miano warjatów lub innych półgłówków.

Jeszcze jedno maleńkie „siodełko“, przez które trzeba było iść okrakiem i zdobyliśmy szczyt najwyżej położony w polskich Tatrach w czasie 1 godziny i 45 minut. Westchnienie ulgi i dumy zarazem wyrwało się z serc naszych.

Tymczasem na samym szczycie „biwakuje“ towarzystwo złożone wyłącznie z Czechów, którzy z zapałem kunsumują konserwy mięsne, rozprawiając przytem głośno. Na szczycie ktoś z naszych krzyczy głośno w naszą stronę: „Emil! ja sim tadi tutaj!“ — „Pepiczki“ myśleli, że z rodakami mają do czynienia i witają nas radośnie okrzykami: „Na zdar! Na zdar!“ — Wnet jednak stracili to mniemanie, gdy posłyszeli w czysto polskim języku „że śmierdzi wokoło sardynkami i śledziami jak na Kaźmierzu“. — Odeszliśmy trochę dalej i zajadając smacznie kiełbasę z chlebem zachwycaliśmy się pięknym widokiem, jaki roztaczał się przed nami. W południowej stronie widzimy łagodne stoki czeskich Tatr, piękne doliny pokryte lasami, poprzerywane tu i ówdzie wapiennemi skałami lub lśniącym w słońcu potokiem. A za górami, hen daleko rozciąga się nizina węgierska, na której niby grzyby na zielonej murawie bieliły się miasteczka i wioski bratniego nam narodu czeskiego.

Z drugiej strony stoją nieruchome, zadumane, poważne nasze szczyty polskie. Nagie, poszarpane ich ściany budzą grozę w sercach naszych, ale zarazem takie one są nam drogie i bliskie, bo przecież to nasze polskie, kochane Tatry! Nasze jest to Morskie Oko, nasze są te Czarne Stawy, nasz jest ten kraj, który widzimy hen w dali na horyzoncie! Jak na dłoni widzimy polski Spisz, a te wioski i miasta gęsto rozrzucone na nim, to siedziby naszych dzielnych górali. Dumni jesteśmy ze skarbów jakie posiadamy a serca nasze ogarnia jakieś uczucie błogie; to miłość ojczystego kraju. Z miłością wzrok nasz buja po turniach wysokich, po tych jeziorach prześlicznych, których nazw niesposób wymieniać wszystkich. Dużo skorzystaliśmy z objaśnień pewnego profesora z Pragi, który osobom ze swego towarzystwa bardzo dokładnie wskazywał każdy szczyt z osobna.

Czas był jednak ruszać dalej! Po krótkiej naradzie postanowiliśmy zejść południowym stokiem Rysów do Hińczowych Stawów, a z tamtąd „szwarcować“ się dalej czeską stroną przez Mięguszowiecką przełęcz do Morskiego Oka. Idziemy! Pieprzykiem tej części wycieczki było to, że szliśmy czeską stroną, a nie mieliśmy na to żadnego pozwolenia tj. „przepustki“. Pocieszaliśmy się jednak, że „gdyby nas Czesi zahaczyli, to w takim razie musielibyśmy trochę więcej zwiedzić kraju, a może nawet i Smokowiec, na co nie każdy turysta w dzisiejszych czasach może sobie pozwolić“. Jednak postanowiliśmy zachowywać wszelkie środki ostrożności. Przed nami szczyt potężny wznosił swe dumne czoło i patrzył gdzieś w dal. Zgroza i majestat biły od tego szczytu, lecz nas nie przerażały nawet, ani ogrom-

ne złomy skalne, które śmiałkowi zakłucającemu im ciszę i kuszącemu się o ich zdobycie groziły zmiażdżeniem. Owszem przeciwnie pociągały nas te niebezpieczeństwa i natychmiast ruszyliśmy dalej.

Droga była dość urozmaicona, gdyż spinaliśmy się po stromych, ociekających wodą ścianach; z trudem pokonywaliśmy kotlinki zasypane wietrzejącemi skałami. Jedynie tempo narzucone przez przewodnika było już nie do wytrzymania. Dlatego gdzieś w połowie drogi rozdzieliliśmy się na dwie grupy i tak dotarliśmy do przełęczy Mieguszowieckiej.

Prześliczny widok z przełęczy wynagrodził nam stokrotnie uciążliwą spinaczkę. Jak okiem sięgnął góry, skały, niebotyczne turnie; hen na horyzoncie Garluch odpoczywał spowity mgłami, które zwolna wznosiły się ku górze, aż w końcu oblicze „króla Tatr“ zniknęło w morzu mgieł. Bo oto właśnie słońce dobiegało kresu swej wędrówki i za chwilę zniknąć już miało zupełnie za wierzchołkami gór. Pod nami w dole złociły się w blaskach zachodzącego słońca dwa wielkie jeziora cel naszej wędrówki. W mgnieniu oka zbiegliśmy z przełęczy tak, że pod naszemi stopami kamienie rozpryskiwały się na boki. Po kilkudziesięciu minutach przecudnej drogi maszerowaliśmy w porządku drogą nad Morskiem Okiem a mimo iż niejednemu poranione nogi dawały się porządnie we znaki, jednak z naszej dziarskiej postawy mogli nasi towarzysze wywnioskować tylko zadowolenie, dumę i radość z odbytej wycieczki.

Ze śpiewem na ustach wchodziła nasza „piętnastka“ do obozu wnosząc radość, gwar i życie. Co tam było opowiadań, żartów, docinań; trudno opisać jaki nastrój panował wśród wszystkich „wycieczkowiczów“, kiedy przy ognisku spożywając skromny posiłek dzielono się wzajemnie wrażeniami, jednak śmiało można stwierdzić, że wycieczka na Rysy należała do najpiękniejszych i najwięcej udałych wycieczek minionych wakacyj.

Jocus.

„Nasza Myśl“ wychodzi kwartalnie.

Prenumeratę oraz korespondencję należy adresować:

„Nasza Myśl“, Kraków, Kościuszki 86.

Wydawca: Br. Wincenty Albertyn.

Za redakcję odpowiada: Br. Viator. — Za administrację: Figiel Władysław.

Odbito w Drukarni Polskiej Fr. Zemanka w Krakowie, ul. T. Kościuszki 3.